

Piękno błota polnej drogi

**Ze Stanisławem J. Bryndalem, olpińskim artystą-rzeźbiarzem,
rozmawia Józef Augustyn SJ**

W olpińskim kościele są rzeźby wykonane przez Pana ojca – Ludwika Bryndala.

Ojciec wyrzeźbił figury do bocznego ołtarza Ducha Świętego i wykańczał ołtarz główny. Ale rzeźby w olpińskim kościele to nie jedyne jego dzieła. Jest autorem wielu innych prac, przede wszystkim o charakterze sakralnym: ołtarzy, stacji drogi krzyżowej, figur świętych, kapliczek. Dziś jego rzeźby są w wielu miejscach, na przykład w miejscowości Złota, w gminie Czchów. Proboszczem tamtejszej parafii był nieżyjący już ks. Franciszek Korta, prawdziwy mecenas sztuki. Bardzo często składał u ojca różne zamówienia.

Niestety, kiedyś nie było takiego dostępu do aparatów fotograficznych jak dziś, więc ojciec nie robił – tak na poważnie – żadnej dokumentacji swojego dorobku. Przez pewien czas prowadził tylko zeszyt, w którym zapisywał powstałe prace. Ale i to później zaniedbał. Często także nawet nie podpisywał się na swoich pracach, więc dziś trudno by było ustalić pełny spis jego rzeźb.

Dlaczego Ojciec nie sygnował swoich prac?

Nie przywiązywał do tego wagi. To z pewnością również wyraz skromności i pokory. Miał świadomość niedoskonałości swoich prac i z każdym kolejnym dziełem dążył do jej osiągnięcia. Wychodził z założenia, że sygnować warto rzeczy naprawdę dobre.

Czy był samoukiem?

Nie, najpierw terminował u mistrza snycerstwa Stanisława Bochenka z Teresina, a po wojnie ukończył Szkołę Kenara w Zakopanem. Ojciec był zdolnym człowiekiem, mógłby uczyć się dalej. Wiadomo jednak – w domu nie było za bogato i po ukończeniu szkoły w Zakopanem wrócił do Olpin, na gospodarkę.

Artystyczne tradycje w rodzinie kontynuuje teraz Pan.

Ja także ukończyłem Szkołę Kenara w Zakopanem, czyli Liceum Technik Plastycznych im. Antoniego Kenara. To był i nadal jest bardzo znany ośrodek artystyczny. Za moich czasów w szkole uczyli tacy mistrzowie, jak Antoni Rząsa czy Władysław Hasior – prawdziwie akademicki poziom. Wielu absolwentów tego liceum było później profesorami Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, między innymi Marian Wnuk, znany rzeźbiarz i pedagog, dwukrotnie rektor warszawskiej akademii.

Po pięciu latach nauki w Szkole Kenara i ja wróciłem do Ołpin. Przez rok pracowałem nad stacjami drogi krzyżowej dla parafii w Złotej – tej samej miejscowości, w której było już wiele prac mojego ojca. Po roku dostałem się na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie studiowałem rzeźbę u prof. Gustawa Zemły. To artysta rzeźbiarz znany przede wszystkim z monumentalnych pomników o poszarpanej formie. Jest autorem między innymi bardzo charakterystycznego pomnika Powstańców Śląskich w Katowicach.

Po studiach ponownie wrócił Pan do Ołpin?

Tak, ale po roku znowu wyjechałem do Warszawy i przez dwa lata byłem asystentem na Wydziale Rzeźby warszawskiej akademii. Dopiero po śmierci ojca musiałem wrócić do domu już na stałe.

Z wielkiego świata przeniósł się Pan na głuchą prowincję.

Tak mnie pokierował los. Ale tak naprawdę świat jest teraz bardzo mały, odległości się skurczyły i dziś prowincja nie jest taka sama jak kiedyś. Przyznam jednak, że ja lubię swoją prowincję. W Warszawie mieszkałem siedem lat. Przez ten czas wielkomiejski zgiełk i huk cywilizacji po prostu mnie zmęczył. Jestem tak naprawdę „człowiekiem natury” i bardzo sobie cenię spokój wsi, bliskość przyrody... Od dziecka byłem wrażliwy na świat otaczający mnie przyrodą.

Myślę nawet, że właśnie z tej wrażliwości zrodziły się we mnie zainteresowania artystyczne. Zwracał mi na to uwagę także mój ojciec. Był bardzo zajęty. Ciągłe miał do wykonania jakieś zlecenia na ołtarze, a przecież trzeba było także zająć się gospodarstwem – niezbyt dużym, ale pracy w nim nie brakowało. Czasami jednak – przy jakiejś okazji – ojciec pokazywał mi na przykład kwiat i mówił, żebym popatrzył nie tylko na jego kolory, ale także na to, jak jest zbudowany, jaką ma formę... Od tego czasu zacząłem myśleć właśnie tymi kategoriami – szukać bogactwa kształtu w otaczającym mnie świecie.

Pański ojciec wykonywał przede wszystkim rzeźby o charakterze sakralnym. W czym Pan się specjalizuje?

Jeśli otrzymam zamówienie na rzeźbę sakralną, to oczywiście staram się mu sprostać. Moją ulubioną formą jest jednak mała forma rzeźbiarska. Zresztą w tym kierunku specjalizowałem się także w czasie studiów. Często mówię nawet o „rzeźbie kieszonkowej”.

Z czego wynika to zainteresowanie „formą kieszonkową”?

Według mnie małe formy są po prostu bardziej przyjazne, mniej agresywne. W mniejszym stopniu tego typu formy mogą wypaczać gust odbiorcy.

To znaczy?

Monumentalna rzeźba czy pomnik istnieją nie tylko jako dzieło sztuki, ale funkcjonują w przestrzeni, styka się z nią wiele osób. Jeśli dzieło tak szeroko dostępne nie jest dobre, nie będzie w sposób pozytywny oddziaływać.

Rzeczywiście na wiele pomników trudno nawet patrzeć, a co dopiero zachwycać się.

Wielu kusi popisywanie się wielką formą. Trzeba jednak zwracać uwagę, jak dane dzieło ukształtuje przestrzeń, w której się znajdzie. Mówię tu o pewnej odpowiedzialności za to, co i gdzie ustawiamy. By robić duże formy, potrzeba też dużo drogiego materiału, na który nie zawsze ma się środki. Poza tym – biorąc pod uwagę już czysto techniczne sprawy – preferuję rzeźbę kieszonkową, bo jest ona łatwiejsza w transporcie. Takie rzeźby w skali mini w razie potrzeby można po prostu schować do kieszeni i bez problemu przenieść. Z większymi dziełami jest już pewien problem.

Kiedy byłem asystentem na Wydziale Rzeźby, sam musiałem usunąć z pracowni gipsowe dwu-, trzymetrowe rzeźby swoich kolegów. Broniąc dyplomu, studenci najczęściej chcą się wykazać i zrobić coś naprawdę wielkiego. Tylko że później nie wiadomo, co z ich pracami zrobić, gdzie je umieścić, jak je przewieźć. Tymczasem w pracowniach potrzebne jest miejsce dla następnych roczników studentów. Zdarza się, że prace poprzedników rozwala się młotkiem i wynosi gipsowy gruz w wiaderkach.

To smutne.

Dlatego ja postanowiłem obronić dyplom z małej formy rzeźbiarskiej i medalierstwa. W czasie obrony spotkałem się jednak z zarzutem, że wykonane przeze mnie prace to nie rzeźby, ale rodzaj biżuterii. Staralem się więc udowodnić, że także taka mała forma może mieć dużo wewnętrznej mocy. Swoją tezę opierałem na rzeźbie starożytnej – na przykład na pochodzących sprzed naszej ery figurkach z Mezopotamii i Grecji. Są rzeczywiście niewielkie, najwyżej dziesięciocentymetrowe, mimo to bije z nich swego rodzaju monumentalność.

Inspiracją dla mnie były zajęcia z panią profesor Zofią Demkowską, nestorką polskiego medalierstwa. To był wybitny pedagog – miała bardzo szerokie horyzonty i przyznam, że nie zawsze nadążaliśmy za nią. Nieraz trochę nawet się z niej śmialiśmy. Umiała nas jednak zainspirować i zmobilizować do pracy. Pamiętam, że jeden z moich kolegów chciał jej zajęcia zaliczyć jak najmniejszym kosztem. Pogniół glinę jak gniecie się ciasto – i zadowolony zaniósł jej tę byle jaką pracę do oceny. Miał nadzieję, że tym sposobem uda mu się z medalierstwa dostać przynajmniej ocenę dostateczną. Tymczasem pani profesor powiedział, że poruszył wspaniały problem faktury w medalierstwie i warto, by jeszcze nad tym popracował. W ten pozytywny sposób zachęciła go do większego zaangażowania. Jej zajęcia były dla mnie bardzo inspirujące – i pewnie także stąd moje zainteresowanie małą formą.

Z historii sztuki znane są jednak przede wszystkim dzieła wykonane w dużej skali.

Rzeczywiście ich oddziaływanie jest silniejsze już przez sam rozmiar. W muzeach sztuki współczesnej podziwiamy więc przede wszystkim dzieła monumentalne. Ale to sztuka małego formatu od zawsze towarzyszyła człowiekowi i wydaje mi się, że jest mu bliższa.

Tym bardziej że muzea, o których Pan wspomniał, nie są często odwiedzane, wyłączwszy oczywiście koneserów i znawców. Dlaczego?

Myślę, że wiąże się to z odwiecznym problemem niezrozumienia sztuki przez odbiorcę. Z jednej strony artysta ma prawo do wyrażenia siebie w konkretny, bliski mu sposób – na przykład poprzez dzieło abstrakcyjne, a z drugiej strony – potencjalny odbiorca, nie zawsze przygotowany do odbioru sztuki, nie umiając zinterpretować danego dzieła, może je odrzucić i także ma do tego prawo.

Artysta staje więc często przed trudnym do rozstrzygnięcia dylematem – czy ma w swoich dziełach wyrażać siebie i sięgać po bliskie sobie formy i treści, czy też powinien

raczej pójść za tak zwanym społecznym zapotrzebowaniem i tworzyć według gustów potencjalnych nabywców. Z czegoś przecież artysta musi żyć. Dziś twórca rzadko może liczyć na pomoc mecenasa czy sponsora, a bez tego trudno poprzestać jedynie na artystycznym wyrażaniu siebie. To problem, z którym na co dzień zmagają się artyści. Wielu moich kolegów po plastycznych studiach zajmuje się czymś innym – są nauczycielami, urzędnikami albo pracują nawet na roli.

Jak jednak sprawić, by przeciętny odbiorca rozumiał artystyczny wyraz twórcy i nie odrzucał jego dzieła?

To moim zdaniem kwestia źródeł inspiracji artystycznych. Artysta często szuka ciągle czegoś nowego. Nieustannie pojawiają się w sztuce różne nowatorskie nurty. Po kilku latach nikt jednak już o nich nie pamięta. Trzeba by szukać bardziej trwałych inspiracji – na pewno w sztuce antycznej, w starożytnej sztuce chrześcijańskiej, w średniowieczu czy renesansie.

Wspomniany wcześniej Antoni Rząsa, mój nauczyciel rzeźby w Szkole Kenara, często powtarzał, że najważniejsza jest unikatowość dzieła, jego oryginalność i niepowtarzalność. Na zajęciach nie można było niczego kopiować. Gdy uczniowie odstawiali tak zwaną chałturę, przeżywał to jako osobistą klęskę pedagogiczną. Była to nawet dla niego podstawa do usunięcia ucznia ze szkoły. Kiedyś na wycieczce w Rzymie Rząsa, zobaczywszy bogactwo rzeźby antycznej i dzieł Michała Anioła, wręcz się załamał. Stwierdził, że wszystko już zostało wyrzeźbione. Cóż więcej nowego można wymyślić? Gdzie szukać inspiracji? Z tego dołka wyciągnął go Antoni Kenar, zwracając mu uwagę na sztukę ludową. W niej kazał Rząsie szukać inspiracji. I rzeczywiście dziś Antoni Rząsa uważany jest za artystę, który swoją twórczością nobilitował sztukę ludową.

Traktował sztukę bardzo poważnie.

Niestety, dziś coraz rzadziej spotykamy takich artystów. Zdarzają się twórcy, którzy jedno swoje dzieło odlewają w iluś egzemplarzach, by móc je sprzedać i na tym zarobić. To znak naszej nowożytnej epoki: nie ma czasu na wymyślenie, „wykontemplowanie” czegoś oryginalnego. Każdy się spieszy, chce coraz więcej zrobić i zarobić.

Brakuje też odbiorców, którzy interesowaliby się prawdziwą sztuką, chcieli mieć w swoim otoczeniu jakieś rzeczywiście dobre dzieło. Nie ma na razie w Polsce rynku sztuki z prawdziwego zdarzenia. Wszystko raczkuje i potrzeba chyba jeszcze ze trzy pokolenia, by wypracować jakiś poziom wrażliwości artystycznej społeczności. Ludzie muszą najpierw

nasycić się wszechobecną konsumpcją. Jak się zmęczą tymi wszystkimi „rzeczami”, może zatęsknią za czymś naprawdę ładnym. Artyści więc – jeśli nie chcą tworzyć pod publiczność – muszą na razie tworzyć do szuflady.

W czym Pan szuka inspiracji artystycznej?

Wychodzę z założenia, że dla swoich dzieł trzeba szukać inspiracji w sobie, w swoim świecie wewnętrznym. Natomiast by odnaleźć swój świat, trzeba odrzucić to, czym atakuje nas świat zewnętrzny.

Co jest tematem Pańskich dzieł?

Często dostaję zamówienia na dzieła sakralne. Przy ich tworzeniu mam zawsze dylemat, w którym kierunku pójść: w stronę abstrakcji czy odwzorowania rzeczywistości. Muszę tu uważać, ponieważ dzieło zbyt nowoczesne w formie może być nieczytelne, a przez to nieużyteczne dla celów kultu.

Myślę, że poruszył Pan tu ważny temat. W przeszłości nie było tego dylematu. Artyści tworzyli dzieła o tematyce religijnej w ściśle określonej formie i one zawsze nadawały się dla celów kultu. W XIX wieku uległo to jednak zmianie.

Może to być związane z przemianami społecznymi, gospodarczymi i politycznymi, jakie w tym czasie zachodziły. Zmieniała się także wówczas mentalność i wrażliwość ludzi, zwłaszcza wrażliwość na *sacrum*. Siłą rzeczy zmienili się też artyści, którzy przecież nie wywodzą się znikąd, ale właśnie ze społeczeństwa.

Poza tym artysta – jak już wspominałem – zawsze próbuje odkryć coś nowego. Nieustannie zmaga się z formą, krąży wokół różnych tradycji i chce znaleźć coś oryginalnego. Każdemu się wydaje, że coś odkrył, tymczasem mam wrażenie, że wszystko już tak naprawdę zostało odkryte. Pośród tego trzeba szukać własnych światów, nawet niewielkich, by móc zaistnieć w sposób interesujący artystycznie. Interesujący dla siebie i odbiorcy.

To szalenie trudne. Jest przecież wielu artystów, a tylko nielicznym udaje się stworzyć coś, co byłoby czytelne dla odbiorcy i miało siłę oddziaływania. I nie jest to związane z poziomem wykształcenia. Wiele dzieł autorstwa naprawdę dobrze wyedukowanych twórców nie ma tej wewnętrznej mocy, o którą artyście winno chodzić. A bywa i tak, że nagle pojawia

się ktoś bez wykształcenia, ale za to z wielką intuicją daną od Stwórcy, jak Nikifor czy Janas z Dębna. Artyści ci mieli intuicję, która sprawiła, że ich dzieła na zawsze pozostaną żywe.

Tak naprawdę trudno powiedzieć, od czego to zależy. To dla mnie wielka tajemnica. Zresztą uważam, że nie ma potrzeby mnożyć słów na ten temat, bo tak naprawdę, co może z nich wyniknąć. W przeszłości lubiłem wszelkiego rodzaju wykłady i prelekcje na temat filozofii sztuki. Dziś jednak mam do tego nieco inny stosunek. Można wygłosić mnóstwo wykładów, czy jednak ktoś do nich będzie sięgał poza wąską grupą specjalistów? Można napisać mnóstwo książek o sztuce, ale czy po latach ktoś będzie je czytał? Najważniejsze, by po artyście zostało jakieś ciekawe dzieło, nawet niewielkie, ale które by intrygowało i oddziaływało swoją formą czy tematem.

Wróćmy więc do Pańskiej twórczości. Wspomniał Pan o wewnętrznym świecie artysty, z którego winien czerpać inspirację. Z czego składa się Pański wewnętrzny świat?

To dla mnie przede wszystkim świat przyrody. Przyznam, że obca jest mi na przykład grafika komputerowa i tworzenie według komputerowych programów. Wystarczy wrzucić do maszyny określone dane i wychodzi „dzieło sztuki”. Tylko czy można znaleźć w tym coś dla siebie? Coś swojego? Coś więcej niż elementy ładnej dekoracji? Ja korzystam z zupełnie innych materiałów. Sięgam do naszych korzeni, szukam tworzywa, w którym byłoby ciepło, które byłoby bliskie człowiekowi, bliskie naturze. Wspaniałą inspiracją może stać się dla mnie na przykład konar drzewa, kwiat czy nawet błoto na polnej drodze.

Swego czasu dostałem od znajomego katalogi, w których pokazane było, jak powstają dzieła sztuki. To było dla mnie jakieś nieporozumienie. Twórca przecież nie może zaplanować, że oto teraz stworzy prawdziwe dzieło sztuki. Na to trzeba wielu poszukiwań i ciężkiej, pokornej pracy, niekiedy nawet przez całe życie. Dzięki temu – jeśli Pan Bóg pozwoli – niektórym czasami udaje się stworzyć coś, co zostaje na wieki.

Nieraz też ważne, by spojrzeć na swoje dzieło z perspektywy czasu. Okazuje się bowiem, że praca, którą uważaliśmy za skończoną, po jakimś czasie postrzegana jest przez nas zupełnie inaczej – jako wymagająca poprawek i zmian. Ważny jest więc dystans w ocenianiu swoich dzieł. Na studiach zwracał nam na to uwagę prof. Stanisław Kulon, tylko że wówczas buntowaliśmy się przeciwko temu. Uważaliśmy, że każda nasza rzeźba jest doskonała. Profesor kazał nam więc robić zdjęcia prac i popatrzeć na nie za jakiś czas. I to była bardzo mądra rada. Kiedy bowiem popatrzyłem na zdjęcia swoich rzeźbiarskich prób po miesiącu czy dwóch, okazywało się, że praca bywała kiepska i trzeba było zaczynać od nowa.

Po co ten artystyczny wysiłek?

By wyrazić siebie. Każdy artysta chce przekazać swoje widzenie i wewnętrzne doświadczenie związane z określoną rzeczywistością. Chce jakby zamknąć skrawek świata w swoim patrzeniu, pokazać go innym swoimi oczyma. Chce wyrazić jakieś emocje, myśli, wrażenia. Ująć je w jakiś kształt, by dzięki temu pozostały na dłużej. To wymaga jednak nie tylko talentu, ale także – jak mówiłem – ciężkiej pracy i wysiłku kreacji. Tworzenie dzięki temu staje się jednak prawdziwą przygodą. Człowiek zaczyna pracę nad jakimś dziełem i tak do końca nie jest pewien, co z niego wyniknie. Już mu się wydaje, że to jest właśnie to, o co chodziło, a za chwilę okazuje się, że jednak nie, że nic z tego, że trzeba zaczynać od początku i może następnym razem uda się coś z siebie wyszarpać. Często bowiem tak naprawdę jedynie zbliżamy się do oddania pewnej myśli czy odczucia niż w pełni je wyrażamy w takim kształcie, jakbyśmy sobie życzyli.

Proces twórczy jest więc nieustannym poszukiwaniem i ja także ciągle poszukuję. Kiedyś fascynowały mnie zupełnie inne kierunki w sztuce niż obecnie. Bardzo podobał mi się na przykład impresjonizm i postimpresjonizm. Dziś sięgam raczej do wrażliwości artystów średniowiecznych. W ich dziełach odnajduję głęboką moc i wielką żarliwość duchową. W czasach studenckich w Muzeum Narodowym w Warszawie podziwiałem prawie naturalnej wielkości średniowieczną rzeźbę Jezusa Frasobliwego. Od tamtych studenckich czasów minęło już trzydzieści lat, a rzeźba ta nadal robi na mnie ogromne wrażenie. Także sposób, w jaki została wykonana. Średniowieczni artyści, by uzyskać efekt nabrzmiałych ze zmęczenia czy wysiłku żył, stosowali sznurek: nakładali go na drewno, kredowali, a następnie pokrywali polichromią. Widać to na rzeźbach monumentalnego ołtarza Wita Stwosza w krakowskim kościele Mariackim. Albo – by uzyskać krople potu – kapali na drewno woskiem, a następnie owe krople malowali farbą. Później spotkałem się z podobną techniką na przykład u Rząsy, który wyrzeźbionym przez siebie postaciom robił z żywicy epoksydowej krople łez.

Duże wrażenie robią też na mnie średniowieczne rzeźby, które do naszych czasów zachowały się jedynie we fragmentach, w jakichś „strzępach”. W takiej nadszarpniętej przez czas formie mają niekiedy większą siłę oddziaływania. Jest w tym większa tajemnica.

Podobne wrażenie odnosi się, oglądając stare ikony w rosyjskich muzeach.

W roku 1978 miałem okazję być w Zagorsku (dziś Siergijew Posad), gdzie znajduje się ławra Troicko-Siergiejewska. Za czasów komuny, w części klasztoru, w którym w przeszłości pracowali słynni ikonopisarze – Andriej Rublow i Danił Czarny – były magazyny.

Niesamowite wrażenie zrobiła na mnie zniszczona cerkiew z zabytkowymi ikonami, w której na ziemi przechowywano buraki. Jednak mimo tego zniszczenia cerkiewne freski miały dużą siłę oddziaływania. Dziś ławra została odnowiona i wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

A w należącym do ławry soborze Troickim, gdzie przechowywane są relikwie św. Sergiusza Radonieżskiego, dla zwiedzających świątynię turystów niemal przez cały dzień śpiewa chór. Nie wiem, czy nie zostało to zbyt skomercjalizowane.

Być może. Ale ja zwiedzałem cerkiew w czasach komunistycznych. By móc zobaczyć kompleks klasztorny, musieliśmy przekupić „flaszka” jednego z pilnujących budynków stróża. W pewnym momencie zrobiło się nawet trochę niebezpiecznie. W tym czasie nosiłem brodę i zostałem wzięty za prawosławnego mnicha. Mogłem „wyjechać” nieco dalej na wschód niż do Zagorska.

Zarówno te ikony, które wówczas zobaczyłem, jak i w ogóle ikony pisane według wielowiekowej tradycji niosą w sobie wewnętrzną moc, która nie słabnie, podobnie jak w przypadku wspomnianej rzeźby Jezusa Frasobliwego. Z obu tych form sztuki religijnej płynie prawdziwa modlitwa, one same są przecież modlitwą.

Być może brak tej modlitwy sprawia, że współczesne dzieła o tematyce sakralnej nie zatrzymują wiernych w kościołach. W wielu ostatnio wybudowanych świątyniach nie chce się po prostu siedzieć. Tylko beton, żelazo i szkło.

Rzeczywiście nasze kościoły nierzadko przypominają fabryczne hangary. Receptą na zmianę tego byłby według mnie powrót do źródeł, do tradycji minionych wieków. Dziś nie szanujemy dorobku przeszłości – i dotyczy to nie tylko architektury sakralnej, ale architektury w ogóle. Wystarczy popatrzeć na niejedną polską wieś. Stare drewniane budynki pięknie wpisują się w krajobraz, nowe – zupełnie do niego nie pasują. Dziś stawiając domy, nie zwraca się uwagi na to, co było kiedyś, na narodowe tradycje. Każdy chce wybudować według własnego widzimisię. Jeśli na przykład był w Ameryce, buduje westernowe wrota. A później mamy w naszej przestrzeni okropny chaos i bałagan, by nie powiedzieć istny cyrk. Naprawdę z nostalgią patrzę na dawne drewniane domki, które nie psuły pejzażu.

W przypadku architektury sakralnej ważne jest, by nie zatracać w niej *sacrum* i oddzielać je od *profanum*. Trudno mi na przykład zrozumieć takie rozwiązanie, że bezpośrednio za głównym ołtarzem znajduje się mieszkanie księdza proboszcza. Dziś zwraca

się uwagę na funkcjonalność i wygodę. Czasami powoduje to, że idziemy na skróty i zabijamy sakralność miejsca. Dla mnie nie ma na przykład atmosfery *sacrum* kapliczka wyłożona od góry do dołu flizami, jak łazienka. Powstaje zamknięta w płytkach plastikowa Matka Boża. To na pewno jest tanie, funkcjonalne i łatwe w konserwacji. W takim miejscu nie będzie pajaków, muszek i innych robaczków, ale nie będzie też ciepła, nie będzie ducha.

Kiedyś przydrożne kapliczki budowali prości ludzie. Wszystko robili ręcznie. W proces twórczy wkładali wiele wysiłku i serca. Już samo to było przeżywaniem *sacrum*. Każda kapliczka była inna, z każdej płynęła wielka siła ducha i wiary. Dziś w szerokim świecie wszystko robione jest na jedno kopyto najczęściej z plastiku, byle szybciej, byle więcej... Tylko że w ostatecznym rozrachunku nie ma w tym głębi, wszystko jest takie powierzchowne.

Nad czym Pan teraz pracuje?

Dostałem zamówienie na figurę św. Maksymiliana Marii Kolbego do kościoła w Kolbuszowej, niedaleko Leżajska. Mam już materiał – trzymetrowe bale dębowe i teraz trochę czytam na temat tego świętego i wgryzam się w temat. Chcę go zrozumieć. Mam już pewne wizje, ale muszę też – jak to się mówi – myśleć materiałem. Materiał bowiem niejako narzuca nam pewną formę i trzeba to brać pod uwagę.

Zwiedzając Pański warsztat, widziałem wiele rzeźb wykonanych w drewnie – jak Pan to sam określił – techniką łupaną. Na czym ona polega?

Tę technikę „wynałazłem” trochę przypadkowo. Dostałem kiedyś od znajomego kawałek drewna dębowego, które było mokre. Widocznie dąb został ścięty, kiedy ciągnął soki.

Nawiasem mówiąc, to smutne, że dziś ścina się wszystko, co leci, bez zwracania uwagi na prawa przyrody. Drzewo bowiem ciągnie z ziemi soki, przerabia je, a później odpoczywa. I kiedyś przy ścinie zwracano na to uwagę. Kierowano się fazami księżyca i do wycinania drzew przystępowano w odpowiednim czasie. Była w tym naprawdę wielka mądrość...

Miałem więc ten mokry materiał i nie bardzo wiedziałem, co z nim zrobić. Nie mogłem go sprzedać na parkiet, bo na parkiet mokre drewno się nie nadaje. Więc chwilę kloc ten leżał u mnie i któregoś dnia wzdłuż słoju odłupała się od niego niewielka szczypka, w której zobaczyłem skrzydło anioła. Zacząłem więc rozbijać ten kloc na kawałki, odłupywać kolejne

szczyпки i w ten sposób powstała seria aniołów. Było ich dwieście, może trzysta... Parę naprawdę mi się udało. Jeszcze kilka z tych aniołów mi zostało, reszta poszła w świat.

Jednego z nich podarował Pan mnie. Ofiarowałem go później pewnej rodzinie z Sardynii.

Nie pamiętam, czy dostał Ojciec akurat tego udanego... Z mokrego dębu powstała też rzeźba przedstawiająca głowę cierpiącego Chrystusa. Stoi teraz w Bykowcach pod Sanokiem dla upamiętnienia poległych tam żołnierzy z września 1939 roku. Pomnik odsłonięto w 2001 roku, a drewno nadal jest mokre – jak się je rozłupie, zbierają się krople wody. Z czymś takim nigdy wcześniej się nie spotkałem.

Ten przypadek z mokrym drewnem dębowym sprawił, że zacząłem wykorzystywać w swoich pracach naturalną fakturę czy formę materiału, by w jak najmniejszym stopniu w niego ingerować. Kiedyś na przykład wykorzystałem dla swoich celów dziury wydrążone w drewnie jesionowym przez korniki. To, co daje natura, próbuję włączyć w moją sztukę. Czasami podkreślam tylko jakiś akcent złoceniem. W ten sposób powstały nie tylko anioły, ale także seria świętych Franciszków. Znalazłem kiedyś kawałek drewna dębowego, na którym pojawiły się niewielkie plamki w kształcie kwadracików. Od razu pomyślałem, że wyglądają jak łatki na szacie św. Franciszka.

W ogrodzie, wokół pobliskiego stawu, jak i w otoczeniu Pańskiego starego, drewnianego domu w wiejskim stylu jest wiele rzeźb aniołów i świętych, wiele figurek ptaszków i innych zwierząt wyrzeźbionych w drewnie lub też wykonanych techniką metaloplastyki. Przyroda przenika się tu ze sztuką na każdym kroku.

Kontakt z przyrodą, jak już mówiłem, jest dla mnie bardzo ważny. Wiele z niej czerpię. Często powtarzam, że natura jest moją akademią sztuki. Akademia to dla mnie motyle, kwiaty i muszle...

Albo wspomniane wcześniej błoto polnej drogi...

Natura to wielkie bogactwo i z niego przede wszystkim powinniśmy czerpać. Tymczasem to bogactwo bywa niezauważane i lekceważone. W moich pracach chcę wyrazić przede wszystkim piękno przyrody, a poprzez to ukazać wspaniałość jej Stwórcy. Na tym najbardziej mi zależy. Ja sam staram się stać gdzieś z boku, na obrzeżach.

Kiedyś na przykład powstał też cykl świętych Franciszków wykonanych z drutu. Taka „ażurowa” rzeźba powieszona na oknie czy w ogrodzie na gałęzi nie przysłaniała świata, ale jakby zawierała go. Jednego dnia można mieć szatę św. Franciszka w barwach błękitnego nieba czy wypełnioną słońcem, kiedy indziej deszczowymi chmurami. Taki Franciszek jest zawsze żywy: poprzez deszcz, chmury, wiatr...

Św. Franciszek to Pański ulubiony święty?

Jest mi bliski ze względu na swoje ubóstwo, umiłowanie przyrody i wrażliwość na drugiego człowieka. Dziś czegoś takiego się już nie spotyka. W każdym razie jest to rzadkie. Kiedyś w rodzinie czy w szkole bardziej uczulano nas na to, by pomóc drugiemu człowiekowi. Dziś „bez kasy” nikt nikomu nie pomoże. To prawdziwy upadek.

Ja chciałbym przede wszystkim być bliżej natury i człowieka. Nieraz przyjeżdżają do mnie znajomi i śmieją się trochę, że robię same świątki. Ale ja nie mam ambicji być wielkim, wybitnym rzeźbiarzem. Chciałbym tylko poprzez swoje rzeźby być blisko człowieka i Pana Boga.

Czy czuje się Pan spełnionym artystą?

Tak.

Nie żałuje Pan porzucenia świata wielkiej sztuki Zakopanego i Warszawy?

Czasami zastanawiam się, co by było, gdybym został w Warszawie. Może miałbym więcej czasu na rzeźbienie... Może stworzyłbym jakieś ważne dzieło sztuki... Może stałbym się bardziej znany... Ale tak naprawdę wystarcza mi to, że mogę sobie w Ołpinach, w zielonej Małopolsce, czasem coś „dłubnąć”. Mam tu swój las, ogród i kwiaty. Mam swoje ule i staw z rybami. Słucham śpiewu ptaków i głosów przyrody. To dla mnie najważniejsza i największa nagroda.